

Niezwykła historia uzdrowiciela Alfonsa Vena – 1

19 października 2022

Najbardziej niesamowitą rzeczą, jaką można usłyszeć przez radio, jest czyjaś opinia, że ty, gospodarz programu, jesteś kimś ważnym, a nie tylko po to, by przeświecić swojego rozmówcę na wylot. Większość dziennikarzy jest przypuszczalnie neutralna, a mimo to starają się podchodzić do swoich rozmówców krytycznie, próbując ich przygwoździć i zdemaskować ich kłamstwa lub knowania. Tak jest rozumiane zadanie dziennikarza. Nie może się on angażować osobiście. To zbyt niebezpieczne.

No i oto prowadzę wywiad z inżynierem z Belgii, który specjalizował się w technikach kontroli procesów i wprowadził mnie w zdumienie, opowiadając o wiedzy, którą udało mu się rozwinąć. Oświadczył, że mój organizm stanowi swego rodzaju układ sterujący. Układ zapewniający mi doskonałe funkcjonowanie, układ, który sprawia, że nie jestem zwierzęciem lub rośliną, ale Willemem de Ridderem. To swego rodzaju komputer lub układ instrukcji.

Nic z tego nie zrozumiałem i powiedziałem:

– To wspaniałe! Tak więc twierdzi pan, że jest pan w stanie przekazać temu układowi nowe instrukcje sterujące i wtedy moja natura ulegnie całkowitej zmianie albo przypomni on sobie swój pierwotny stan, zanim moi rodzice zaczęli przy nim majstrować.

– Gwarantuję – odrzekł. – Proszę posłuchać, kiedy dochodzi do zmiany natury układu, cały nasz system alarmuje nas o tym poprzez szereg symptomów, które nazywamy chorobami. A kiedy organizm wraca do stanu wyjściowego, znikają choroby.

Uśmiechnąłem się, nie wierząc mu, i pomyślałem: „Poczekaj, zaraz cię złapię”.

Od wieku dwóch lat cierpię na astmę. To bardzo nieprzyjemna sprawa. Kiedy dochodzi do ataku, oddycha się jak człowiek wiszący na szubienicy. Ledwie można złapać powietrze. Nie można się położyć. Nie można się poruszyć. Siedzi się, skupiając wszystkie siły na oddychaniu. To jest potwornie męczące. Nie można myśleć. W mózgu tkwi tylko jedna myśl: przetrwać. Nic więcej. I oto w sytuacji, gdy żaden lekarz nie potrafi nic na to poradzić, ten człowiek twierdzi, że jest w stanie to usunąć, że to zniknie.

– Tak, gwarantuję to – powiada.

– Dobrze, spróbujmy. To jest program radiowy i słucha nas wielu ludzi. Może spróbowałby pan na mnie? Jeśli zostanę wyleczony, wszyscy będą o tym wiedzieli, a pan zdobędzie wielu zwolenników – odparłem.

Stwierdził, że po raz pierwszy opowiada w radiu o swoich zdolnościach. No i dostałem trochę białych pigułek. Przyjmowałem jedną dziennie przez 28 dni. Było to dwa lata temu i od tamtej chwili nie miałem ani jednego ataku. Biegam po schodach i jeżdżę rowerem szybciej niż inni. Co więcej, muszę stwierdzić, że zmienił się również mój charakter.

Dwa lata później jego telefon wciąż dzwoni bez przerwy. Teraz chcę dowiedzieć się, w jaki sposób rozwinął w sobie tę niesamowitą wiedzę, zwłaszcza że nie jest lekarzem. Nazywa się Alfons Ven. Mieszka na odludziu w belgijskich Ardenach, ale w tej chwili siedzi obok mnie (Alfons Ven zmarł 25 października 2012 r. w wieku 73 lat – przypis WM).

– Witam pana.

– Miło mi pana widzieć.

– Odkąd opowiedziałem panu o tym niesamowitym cudzie, dowiedziałem się, że kontaktuje się z panem wielu ludzi. Słucha ich pan, nie musi pan nawet się im przyglądać, i wysyła im pan te małe białe pastylki. To wszystko. Potem zaczyna się

coś dziać. Jak się pan w to zaangażował, bo przecież początkowo był pan inżynierem?

– Tak. Inżynierem automatyki i sterowania. Automatyzowałem procesy w rafineriach i innych fabrykach. Konstruowałem systemy sterowania i instalowałem je. Pewnego dnia, kiedy uruchamiałem jeden z nich, poraził mnie prąd.

– Poraził pana prąd?

– Tak, poraził mnie prąd i od tego momentu zmieniło się moje życie. Niewiele poczułem, więc wydawało mi się, że nie jest źle. Moje serce i mózg przeszło jednak 380 woltów. Nazajutrz poczułem się trochę dziwnie. Nie potrafię dokładnie określić, co czułem, ale czułem się dziwnie. I im bardziej narastało to uczucie, tym bardziej czułem się obco. Stałem się obcy dla siebie samego. Inżynierowie nic nie wiedzą na temat psychologii lub pokrewnych dziedzin, w związku z tym nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wiedziałem tylko, że nie funkcjonuję jak poprzednio. Aby prowadzić rozruch fabryki, trzeba być w doskonałej kondycji. To ciężka praca. To oznacza wspinanie się na wieże, konstruowanie, planowanie, zamawianie materiałów, instalowanie etc. Funkcjonowałem coraz gorzej i w końcu pomyślałem sobie: „Trzeba z tym skończyć”. Nie miałem już odwagi wspiąć się ani prowadzić samochodu. Powiedziałem sobie: „Trzeba z tym skończyć”. Zwróciłem się do psychologa, a później do psychiatry i zanim się zorientowałem, znalazłem się w szpitalu, gdzie zaaplikowano mi zastrzyk, po którym straciłem przytomność.

– Pracował pan w fabryce, ktoś przekręcił główny włącznik i poraził pana prąd. Nie zmarł pan, nie miał pan oparzeń ani...

– Tak właśnie było. Jako inżynier elektryk wiedziałem dokładnie, co się dzieje. Nie miałem oparzeń i pomyślałem: „Chyba nic mi nie jest” – ale zacząłem czuć się dziwnie.

– Od razu?

– Tak, od razu. Natychmiast po wypadku poczułem się oślepiiony. Później przez kilka dni przyjmowałem aspirynę i myślałem, że mi przejdzie. Potem zacząłem przyjmować leki i trafiłem w ręce psychiatry.

– Poszedł pan do psychiatry, który zaaplikował panu zastrzyk.

– Tak. To było trzydzieści lat temu. W Belgii psychiatrzy byli w rzeczy samej neurologami. Traktowali pacjentów w sposób kliniczny. Dostałem bez ostrzeżenia zastrzyki i straciłem przytomność. Zasnąłem. Nawet mnie nie zbadali. Miałem problemy z rytmem serca, o czym też nie wiedziałem. W czasie gdy spałem, wszystko się nasiliło. Lekarz nie przyszedł, żeby mnie obejrzeć i zapytać: „Jak się pan czuje?” W momencie gdy się budziłem, dostawałem następny zastrzyk. Nie mogłem się bronić. Nie mogłem nawet im powiedzieć: „Czuję się okropnie i pewnie umrę”. Nie mogłem zareagować. Byłem bezsilny. Lekarz nie pojawił się przy moim łóżku przez osiem dni, tak że pod koniec tygodnia byłem umierający. Wtedy, między zastrzykami, dałem znak mojej żonie, żeby mnie zabrała. Była przy mnie i powiedziałem jej, że wszystko idzie w złym kierunku, że musi zabrać mnie do domu. Lekarz powiedział jej, że nie wytrzymam nawet kilometra jazdy.

– Powiedział, że pan umrze?

– Tak. Cały czas tłumaczyłem żonie, żeby mnie stamtąd zabrała, że jeśli już mam umrzeć, to wolę w domu, a nie w szpitalu, w którym była okropna opieka. Lekarz ciągle powtarzał: „Nie, bo on umrze” – ale ja uparcie nalegałem, żeby zabrać mnie do domu. W końcu wyszedłem i lekarz powiedział, że umrę w samochodzie w drodze do domu. Mieszkaliśmy niedaleko szpitala, a mimo to upierał się, że nie przeżyję drogi. W końcu jednak dotarliśmy do domu. Wcześniej doznałem uczucia opuszczania ciała. Widziałem siebie leżącego na łóżku. Widziałem personel kliniki i znalazłem się w białym tunelu, odczułem to, co teraz nazywa się „przeżyciem w stanie bliskim śmierci”. Oczywiście trzydzieści lat temu nikt o tym nie mówił, więc sądziłem, że

tylko ja mam takie doznania. Nie wzięliśmy ze szpitala moich pigułek i kiedy znalazłem się w domu, powiedziałem sobie: „Dobrze, od tej chwili nic nie będę przyjmował”. Miałem halucynacje, urojenia itp. Byłem na wojnie, podróżowałem w kosmosie.

– Znalazł się pan umierający w kosmosie, że tak powiem.

– To było straszne. Myślałem: „Niech już odejdę, lepiej umrzeć niż żyć, bo co to za życie”.

– Poddał się pan.

– Tak, poddałem się. Chciałem odejść, ale potem przyszły wspomnienia. Zobaczyłem żonę i dzieci i zrozumiałem, że chcę żyć dla nich. Była to walka o życie, a ja znajdowałem się na jego krawędzi. Mogłem przeżyć lub nie. I przyszła jasność, jak to nazywam, i zrozumienie, które rozbudziło moje pragnienie życia. Powiedziałem sobie: „Chcę wydobrzeć, aby opiekować się żoną i dziećmi”. No i przeżyłem.

– Nie przyjmował pan żadnych leków?

– Początkowo nie, ale później powiedziałem sobie: „Jeśli nic nie będę przyjmował, to z pewnością umrę i będzie po wszystkim”. Później, kiedy stopniowo zaczęło wracać zdrowie, musiałem przyjmować leki z powodu omamów i halucynacji. Musiałem wrócić na ziemię. Nasz rodzinny lekarz, który był również naszym przyjacielem, zaczął bardzo ostrożnie leczyć mnie dużymi dawkami lekarstw i ostatecznie mnie uratował. Wiele lat później powiedział mi, że kiedy zaczął mnie leczyć, był pewien, że umrę, więc kierując się zawodową etyką robił, co było możliwe. W każdym bądź razie udało się. Ocaleliśmy. Oczywiście, to zmieniło całe moje życie. Okazało się, że nie mam pracy i nie mogę pracować. Niewiele wiedziałem o swoim istnieniu. Wyłoniła się ze mnie obcość. Czułem się obcy dla siebie samego. Niemal całkowicie straciłem osobowość.

– Czuł się pan jak roślina.

– Niemal, prawie, niezupełnie, ale prawie. No i oczywiście wszystkie leki, jakie we mnie wpompowali, zrobiły ze mnie coś w rodzaju żywego trupa.

– Istniał pan i jednocześnie nie istniał.

– Tak. Trwało to przez wiele lat, zastrzyki, życie i nie życie, narastanie strachu, pojawianie się obrazów itd.

DROGA DO HOMEOPATII

– Pewnego dnia jakaś kobieta powiedziała mi o dobrym homeopacie, którego znała. Trzydzieści lat temu było to coś zupełnie nowego. Prawie nikt nie mówił o homeopatii, a jeśli nawet, to bardzo nieliczni. Mieszkałem w Antwerpii i był tam jeden homeopata. Kolejka do niego była bardzo długa. Homeopata, którego znała ta pani, był prezesem Towarzystwa Homeopatycznego, i był bardzo dobrym fachowcem. „Ten człowiek jest już na emeryturze” – powiedziała – „ale prawdopodobnie będzie mógł panu pomóc”. Postanowiłem się z nim skontaktować, ale ponieważ był na emeryturze, moje szanse dotarcia do niego były niewielkie. Jego pielęgniarka ciągle odpowiadała mi: „Żadnych wizyt, żadnych wizyt”. Ja jednak uparcie dzwoniłem i pewnego dnia, kiedy pielęgniarka miała wolny dzień, słuchawkę podniosła jego żona i z miejsca umówiła mnie na wizytę, „ponieważ”, jak powiedziała, „to bardzo smutna historia i mimo iż mąż jest już na emeryturze, chciałabym dać panu szansę. Tyle cierpień”.

– Nikt więcej nie mógł panu pomóc?

– Nikt, próbowałem wszystkiego. Jako inżynier i naukowiec wierzyłem w naukę i oficjalną medycynę. „Ci ludzie są najlepsi, wiedzą, co robią” – myślałem. Dlatego szedłem do tego homeopaty bez większej nadziei. Uważałem, że to nic nie da. Medycyna homeopatyczna jest rozcieńczona. Nie ma w niej niczego. Wiedziałem o tym. Mimo to poszedłem i facet okazał się bardzo szczery. Zbadał mnie dokładnie i rzekł: „Nie mogę panu pomóc. Pański problem leży poza moim zasięgiem. Jedyne,

co mogę zrobić przy pomocy moich homeopatycznych lekarstw, to trochę poprawić panu samopoczucie". I zrobił to. Dał mi preparat, po którym poczułem się trochę lepiej. Jeśli ktoś czuje się bardzo źle, wówczas trochę lepiej znaczy bardzo dużo.

– To prawda.

– Oczywiście. No i poczułem się trochę lepiej. Powiedział mi: „To pana nie wyleczy, tak naprawdę to niewiele panu pomoże, może tylko trochę”. Byłem mu wdzięczny za pomoc. Powiedział mi też wtedy: „Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem i wciąż pan żyje. Może coś innego mogłoby panu pomóc, coś w rodzaju psychiatrycznej homeopatii, ale niewiele osób wie coś na ten temat”. Trzydzieści lat temu było to coś zupełnie nowego. Było dwóch lekarzy w Lyonie we Francji, którzy eksperymentowali z psychiatryczną homeopatią. Ojciec i syn. Mieli małą klinikę, w której leczyli takie przypadki oraz ludzi uzależnionych od narkotyków. Mieli pewne sukcesy. Ale jedyne, co po nich zostało, to ich notatki. Mój emerytowany homeopata poradził mi: „Jeśli potrzebuje pan takiej homeopatii, niech pan spróbuje odnaleźć te notatki i wykorzystać je”. Niestety, nie byłem w stanie pozwalającym na podróże. Każda była zbyt długa. Miałem fobie i lęki przed podróżowaniem. Podróżowanie nie służyło mi, ale nagabywałem przyjaciół, by mi pomogli i w końcu uzyskałem te broszury. Przeczytałem i wypróbowałem zawarte w nich rady, i znowu trochę mi się polepszyło.

– Zatem zaczął pan je wykorzystywać.

– Tak, zgodnie z ich wskazaniem. Nie mogąc sam iść do apteki, poprosiłem ludzi, którzy dostali co trzeba i zamówili odpowiednie preparaty. Znowu nastąpiła lekka poprawa i byłem za nią bardzo wdzięczny. Powiedziałem: „To nie to, czego się spodziewałem, ale to i tak więcej niż nic”. Wciąż odrzucałem homeopatyczny sposób leczenia. Widzi pan, jako naukowiec musiałem zdać się na wiarę. Mimo iż nie byłem przekonany, widziałem skutki. Kiedy rozchorowały się moje dzieci, dałem im

homeopatyczne leki, po których wyzdrowiały. Zanim się zorientowałem, ludzie zaczęli się mnie radzić, ponieważ słyszeli o mnie. Widzieli, że powoli wracam do zdrowia, i słyszeli o tym, czego używam. Myśleli: „Jeśli to coś mu pomaga, to może pomoże i nam”. Wkrótce otworzyłem w Antwerpii pierwszy ośrodek terapeutyczny, który nazywaliśmy ośrodkiem odnowy biologicznej. Stosowaliśmy w nim homeopatię administrowaną przez normalnego lekarza.

– Oczywiście, dlatego że nie był pan lekarzem.

– Tak jest. Lekarz wykonywał część kliniczną. Badał ludzi. Nauczyłem się, że jeśli nie zbada się człowieka, jeśli nie podejdziesz się do niego w prawdziwie profesjonalny sposób, to wcześniej lub później wszystko się zawali. Odpowiadał za część kliniczną, dzięki czemu zawsze miałem prawidłową diagnozę. Homeopatyczne zalecenia wystawiałem sam. To była dobra kombinacja. Osiągnęliśmy sukces, aczkolwiek poprawa u mnie samego była niewielka. Dzięki uznaniu ludzi jakość mojego życia poprawiła się trochę, ale tak naprawdę nie czułem się dobrze.

– Był pan chory i jednocześnie pomagał innym ludziom.

– Pomagałem coraz większej liczbie ludzi.

– Z wręcz niezwykłymi skutkami.

– Tak, skutki były dosyć dobre, czasami wręcz nieprawdopodobne. Leczyliśmy przypadki psychiczne i pokrewne. W tym czasie czytałem dużo książek, a to czym się zajmowałem, nazywało się „bezpośrednim poradnictwem”.

– Bezpośrednie poradnictwo?

– Tak. To oznacza, że po kilku minutach rozmowy pacjent wkracza na swego rodzaju drogę prowadzącą prosto do sedna problemu. Nikt nie błąka się po bezdrożach. Mówi się: „Oto twój problem”. I nie ma już odwrotu. Na tym polega

bezpośrednie poradnictwo. Są dwie możliwości: albo rozpoznają, kim są, albo zostają wykurowani – prawie natychmiastowo. Bezpośrednie poradnictwo pozwala uzyskać wyniki, których żaden psychiatra nie osiągnie nawet przez trzydzieści lat. Zdąża się bezpośrednio do celu bez rozglądania się na boki. Przygwoźdża się problem i...

– I kiedy już problem zostaje rozpoznany...

– Rozpoznanie problemu to 80 procent kuracji. Ponieważ kiedy już się wie, to się mówi: „Aha! Dobrze!”

– A jeśli się go nie rozpozna, to dochodzi do pogorszenia?

– Zwykle rozpoznają problem, ale wszystko zależy od osoby, która doradza. Ktoś, kto nie potrafi dojść do sedna sprawy, z reguły musi wrócić. Jeśli po dwóch lub trzech wizytach nie może do niego dojść, nie powinien wracać, ponieważ albo ja nie mogę mu pomóc, albo on nie chce się otworzyć. To jednak dobrze działało i ja również otrzymywałem pomoc od lekarzy i innych ludzi, którzy chcieli mi jej udzielić.

– Tak więc był pan chorym terapeutą, który pomagał ludziom.

– Tak. Chorym człowiekiem leczącym innych ludzi. Ale nie potrafiłem pomóc sobie samemu. Udało mi się jedynie uzyskać niewielką poprawę pod stałą kontrolą. Wie pan, gdy miałem ten ośrodek, nie przyjmowałem normalnych leków. Pomagałem sobie homeopatycznie, co oczywiście było znacznie bardziej delikatne i z mniejszą liczbą efektów ubocznych. Tak więc doszło do pewnego postępu, ale niezbyt wielkiego, jeśli chodzi o moją tożsamość i jakość życia. Nie mogłem dotrzeć do głębszych poziomów, do jądra, tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

– Pana jestestwo nie chciało się zsynchronizować, że tak powiem.

– Tak.

– I utracił pan tożsamość.

– Prawie. Zostałem wyobcowany z mojej tożsamości. Byłem kimś obcym dla siebie samego.

– W stanie, w którym nie można wyobrazić sobie swojej tożsamości?

– Dokładnie tak. To okropne. Gdyby wtedy ktoś powiedział mi: „Połamie panu ręce i nogi, ale za to w ciągu ośmiu tygodni znikną wszystkie pańskie dolegliwości” – odpowiedziałbym: „Łam je pan natychmiast”. Bez żadnego zastanowienia powiedziałbym: „Proszę łamać” – a to dlatego, że wiedziałbym, iż w ciągu ośmiu tygodni wszystko minie. W innym przypadku stałem przed perspektywą: to będzie się ciągnęło w nieskończoność i nigdy nie ustąpi.

EGZORCYZMOWANIE „DEMONÓW”

– Kiedy tak pracowaliśmy nad tymi różnymi schorzeniami, pewnego dnia do mojego gabinetu weszło małżeństwo i oświadczyło: „Przyszedliśmy z powodu naszego syna”. Syn miał sześć lat i dwaj psychiatrzy orzekli, że został „opętany”.

– Dwaj psychiatrzy orzekli, że chłopak został opętany. Przez co? Przez diabła?

– Słowo „opętany” implikuje „przez diabła”.

– Psychiatrzy?

– Tak. I sprawdziłem to. Powiedziałem swojemu lekarzowi odpowiedzialnemu za stronę kliniczną: „Proszę sprawdzić historię tej choroby. Nie wierzę w to. Obecnie taka historia jest niemożliwa. O co tu chodzi?” Lekarz zadzwonił do obu psychiatrów, którzy wszystko potwierdzili. „Tak. Jesteśmy lekarzami Katolickiego Uniwersytetu i uczono nas, że człowiek składa się z ducha, duszy i ciała. Duch jest naszą domeną, zaś dusza, tak jak w tym przypadku, jest domeną duszpasterza lub księdza. Chłopiec został opętany” – oświadczyli. Powiedziałem

rodzicom, żeby przyprowadzili chłopca. Przyszli z nim i chłopiec zaczął wspinać się na firanki, zwałać wszystko i rozbijać. W pewnej chwili stanął przede mną z szeroko otwartymi oczami. Jego źrenice w ogóle nie reagowały. Wyjąłem z szuflady latarkę i zaświeciłem mu w oczy, ale źrenice ani drgnęły. Były cały czas szeroko otwarte. W ogóle nie reagowały na światło.

– Przerażające.

– Mogłem pomyśleć, że to diabeł patrzy mi prosto w oczy. Jego wzrok zmroził mnie. To było przerażające. Powiedziałem rodzicom: „Zabierzcie swojego syna do domu, a ja zastanowię się nad jego przypadkiem. To dla mnie coś całkiem nowego”. Nigdy nie miałem do czynienia z czymś takim. Znałem księdza, który był oficjalnie wyznaczony przez Kościół Katolicki na egzorcystę.

– Kościół katolicki ma oficjalnych egzorcystów?

– Tak. W rzeczywistości każdy ksiądz jest upoważniony do odprawiania egzorcyzmów, ale oni tego nie robią, bo to bardzo specyficzna rzecz. Pozostawiają to specjalistom. Prawdziwi egzorcyci są nominowani przez Rzym.

– Czyli że każdy katolicki kraj ma swoich oficjalnych egzorcystów?

– Dwóch lub trzech. Niewielu. Posiadają oni stopień naukowy nie tylko z teologii, ale i z psychologii. Stoją bardzo wysoko w hierarchii. Wiem to wszystko teraz, ale wtedy nic o tym nie wiedziałem. Są ekspertami od spraw ezoterycznych. W Rzymie są fantastyczne biblioteki, w których można znaleźć wszystko, co dotyczy każdego z duchowych lub ezoterycznych zagadnień. To rzeczywiście doskonale wyszkoleni ludzie. Tak więc udałem się do niego i opowiedziałem mu o chłopcu. Po wszystkim zapytał mnie: „Co pan zamierza zrobić?” Opowiedziałem mu o praktykowaniu pewnego rodzaju homeopatycznej psychiatrii w moim ośrodku, na co on: „Interesujące, bardzo interesujące”.

Słuchał mnie, ale sam nic nie mówił na ten temat. W końcu powiedziałem: „Rozmawiamy już kilka godzin i poznał pan już wszystko o mnie, a ja nic na temat tego, co pan sądzi o opętaniu lub podobnych rzeczach”. „To nie pański interes. My nie rozmawiamy na ten temat. To temat tabu. Tabu. Nie rozmawiamy o tym”. „To po co zgodził się pan, żebym tu przyszedł i opowiadał to wszystko?” – zapytałem. „Ponieważ chciałem wyciągnąć to z pana”. „Miło” – odparłem. – „Miło mi. To była długa wycieczka. No dobrze, wracam do siebie”. „Nie, umówmy się. Jeśli nie uda się panu uspokoić i uzdrowić chłopca swoimi metodami... Ile czasu panu to zajmie?” – zapytał. „Czternaście dni, zadziała lub nie” – odrzekłem. „W porządku” – powiedział. – „Proszę zadzwonić do mnie za dwa tygodnie. Jeśli panu się nie uda, przyjadę i spróbuję wybawić chłopca moim sposobem”. „Zgoda” – odrzekłem. – „Umowa stoi”. Wróciłem do ośrodka, powiedziałem rodzicom, że poczyniłem pewne kroki i że mamy dwie możliwości. Byli katolikami i powiedziałem im: „Znalazłem egzorcystę, który może to zrobić, ale wolałbym zrobić to sam, co państwo na to?” „Proszę to zrobić” – odpowiedzieli. Dałem chłopcu kilka homeopatycznych preparatów i wysłałem ich do domu, mówiąc, żeby wrócili w następnym tygodniu. I wrócili. Musi pan wiedzieć, że chłopiec zachowywał się dziwnie nie tylko w moim gabinecie. W domu nie można go było na chwilę zostawić samego – ani w ubikacji, ani w łóżku. Kiedy na sekundę zostawiali go samego, zmieniał się w diabła. Rozbijał i łamał wszystko. Okropność. W nocy nie spał, z wyjątkiem samochodu, na tylnym siedzeniu w samochodzie. Ojciec i matka musieli na zmianę wozić go całą noc, żeby mógł przespać osiem godzin.

– Musieli wozić chłopca w samochodzie, aby mógł spać?

– Tak. To był jedyny sposób zapewnienia mu odrobiny odpoczynku. Musieli też unikać świateł regulujących ruch, ponieważ kiedy zatrzymywali się na światłach...

– Budził się...

– ...rwał wszystko na kawałki. Tak więc rozumie pan przerażenie, w jakim żyli ci ludzie na okrągło przez całą dobę. Przerażenie! Oczywiście nie chciał też zostać sam ze mną, ale po tygodniu oznajmił: „Chcę zostać sam na sam z panem Venem”. Tak więc mieliśmy zmianę.

– Rzeczywiście ogromna zmiana.

– Poprosiłem rodziców, żeby wyszli z gabinetu. Chłopiec stanął przede mną, zapłakał i powiedział: „Muszę coś panu powiedzieć. Chodzi o tego wielkiego, ogromnego potwora”. „O jakim potworze mówisz?” – zapytałem. „Tym na okładce książki” – odrzekł. „Gdzie jest ta książka?” – zapytałem.

– Widział wielkiego potwora?

– Tak, widział wielkiego potwora, okropnego, który starał się go zjeść, pożreć go i robił mu inne niedobre rzeczy. „To właśnie widzę i tego się boję” – wyjaśnił chłopiec. Nie mógł wyznać tego psychiatrom i psychologom. Dusił to w sobie, a teraz wyznał i już samo to stanowiło o jego ocaleniu. „Kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś tego potwora?” – zapytałem. „W supermarkecie. Miałem wtedy dwa lub trzy lata i robiliśmy z mamą zakupy”. Matka posadziła go w wózku na zakupy, który zaparkowała przed stoiskiem z książkami, i właśnie tam zobaczył tego potwora na okładce. To właśnie tam nastąpiło zaindukowanie u niego tego potwornego strachu, któremu nie potrafił się przeciwstawić. „Aby uwolnić pani syna od tego strachu, proszę pójść z nim do tego samego supermarketu i w tym samym stoisku kupić mu ładną książkę. Proszę sprawdzić dokładnie, czy to jest ładna książka, z ładną okładką” – poradziłem jego mamie. Zrobiła, jak jej powiedziałem, i tydzień później chłopiec poszedł normalnie do szkoły. Ale to jeszcze nie koniec tej historii. Zupełnie zapomniałem o księdzu, tym wysoko postawionym w hierarchii kościelnej. Nie zadzwoniłem do niego. W ośrodku było dużo pracy i zapomniałem o nim. Chłopiec czuł się dobrze. Jeśli chodzi o mnie, to był już koniec tej historii. No i po jakimś czasie zadzwonił ten

egzorcysta. „Jak czuje się chłopiec?” – zapytał. „Dobrze, wrócił do szkoły” – odrzekłem. „Niemożliwe” – rzucił. „Dlaczego niemożliwe?” – zapytałem. „Biorąc pod uwagę to, co mi pan opowiedział, to jest niemożliwe. Jestem przekonany, że chłopiec został opętany. Jak można było wysłać go do szkoły po tak mało znaczących przygotowaniach? Czy pozwoli pan, że tym razem to ja wpadnę do pana, by porozmawiać na ten temat?” „W porządku” – zgodziłem się. Przyjechał i znowu rozmawialiśmy o moich metodach pracy, a nie jego.

– Nie wyjaśnił panu niczego?

– Niczego, ale w końcu powiedział: „Sądzę, że pan coś dodaje do swojej kuracji. Nieświadomie dokonuje pan swego rodzaju posługi kapłańskiej na duchowym poziomie”. „Dobrze, sprawdźmy to” – odrzekłem. „Przyprowadzę panu kogoś, kogo trzeba będzie uleczyć lub uwolnić” – oznajmił. „Dobrze, ośrodek jest otwarty dla każdego” – odpowiedziałem. Przyprowadził kobietę i ponownie wykonałem swoje zadanie. Kobieta, która od dziesiątków lat znajdowała się pod urokiem jakiegoś stwora, została uzdrowiona. Potem przyprowadził jeszcze dwie osoby, a potem następne cztery i w końcu dziesięć. Ale na tym nie koniec. „Alfonsie” – powiedział – „chciałbym wprowadzić cię w świat duchowy”.

– Katolicki ksiądz to powiedział?

– Tak. „Dlaczego mnie, przecież ja wcale nie jestem katolikiem. Mam bardzo liberalne poglądy na życie. Dlaczego mnie?” – zapytałem. „Pewnie pan tego nie wie, ale jest pan bardzo utalentowany, naturalnie utalentowany, i chciałbym nauczyć pana wszystkiego, co wiem”. Zastanowiłem się nad jego propozycją i kiedy się zgodziłem, powiedział: „Niech pan wróci do domu i zamknie swój ośrodek”. Chciał bardzo dużo.

– Dlaczego miał pan zamknąć swój ośrodek?

– Powiedział: „Pan ma dary. Te dary otrzymał pan gratis i dzieli się pan nimi gratis. Przyślę do pana ludzi i wykona pan

posługę kapłańską”. Ludzie, z którymi pracowałem w ośrodku, lekarze, nie byli tym uszczęśliwieni. „Wszystko idzie doskonale, a pan odchodzi, żeby robić coś innego” – żalili się. „Jeśli prawdą jest to, co mówi ksiądz, to, że mogę na poziomie duchowym osiągnąć coś, czego nikt nie potrafi, a przynajmniej on, to dlaczego nie miałbym spróbować? W końcu lepsze jest lepsze” – powiedziałem. Pomyślałem, że moje własne problemy są na poziomie duchowym. Kto wie? Może ucząc się o tym, będę mógł lepiej pomóc sobie samemu albo będę mógł stwierdzić, że to wcale mi nie pomogło. No i znajomość świata duchowego i tych wszystkich rzeczy nie pomogła mi ani trochę.

– Co pan robił? Podróżował pan z nim?

– Najpierw to on przyjechał z tymi ludźmi do mojego ośrodka, kiedy był już zamknięty. Wysłał moich ludzi do domu. Potem podróżowaliśmy przez Flandrię, napotykając różne sytuacje, manifestacje złośliwych duchów przesuwających przedmioty, różne formy opętania, obsesji i udręki. Napotykaliśmy różne przypadki, zawsze o dramatycznym charakterze, skomplikowane, ekstremalne. Cały czas parałem się przypadkami, z którymi nie mógł sobie poradzić, i rozwiązywałem je niemal automatycznie.

– Takie, w których nie potrafił pomóc?

– Tak. Widziałem, jak się modlił nad ludźmi. Kładł ręce na ludziach, uzdrawiał ludzi wyznających jego religię. Widziałem, jak się zmieniali, ale po pewnym czasie wszystko wracało.

– Te uzdrowienia nie były trwałe?

– Tak, w większości przypadków nie były stałe. Na przykład oduczył ludzi przyjmowania narkotyków, ale gdy wrócił po trzech miesiącach, znowu je brali. Albo kiedy ludzie mówili, że mają w domu jakieś stwory. Usuwał je przy pomocy swoich rytuałów i one odchodziły, ale po pewnym czasie było jeszcze gorzej. „U ciebie jest inaczej. One odchodzą bez żadnych rytuałów i nie wracają” – powiedział pewnego dnia ksiądz. Wiedział od razu, że to coś szczególnego, coś zupełnie dla

niego nowego. Ale jak głosi flamandzkie powiedzenie, nie chodzi się w worku. Nasza działalność nie przeszła nie zauważona. Ksiądz został upomniany przez kardynała, najwyższy autorytet kościelny w kraju, by nie wchodził ze mną w żadne układy, ponieważ nie jestem katolikiem. Byłem w pewnym sensie heretykiem. Wydaje mi się, że bali się mnie. Zablokowali mnie, ponieważ robiłem to, czego oni nie mogli. To nie służyło ich interesom.

– I zabronili panu wstępu do Kościoła.

– Tak. Kardynał przysłał do biskupa list, w którym napisał: „To heretyk, nie należy wchodzić z nim w układy ani prosić go o pomoc”. Miałem nie wiedzieć, że zostałem ekskomunikowany. Chcieli się mnie pozbyć. Byłem zawadą, ponieważ nie nawracałem ludzi na chrześcijaństwo lub katolicyzm.

– A jedynie leczył ich pan.

– Tak. Leczyłem ich, ratowałem, pomagałem im. Niemal automatycznie. Zrozumiałem, że podkopuję autorytet kleru, przynajmniej tak to traktowali. Ksiądz otrzymał stanowcze polecenie zerwania ze mną wszelkich kontaktów i w końcu nasze drogi rozeszły się.

– I nie miał pan już ośrodka...

– Ani ośrodka, ani nie poczułem się lepiej... Tak, byłem wielkim homeopatą Antwerpii. Wszyscy mnie znali. Leczyłem ludzi. Byłem egzorcystą. Byłem wszystkim, ale sam nie czułem poprawy. Nie czułem się dobrze. Pomaganie ludziom daje dużo satysfakcji, ale ja miałem astmę, uczulenia i problemy z sercem. Miałem wszystko, co tylko możliwe. Brakowało mi poczucia tożsamości. Oczywiście, w czasie zajmowania się tematami duchowymi i homeopatią stałem się bardziej świadomy wzajemnych powiązań wszystkiego ze wszystkim.

ALCHEMICZNA HOMEOPATIA

– W czasie gdy się tym wszystkim zajmowałem, przyszedł do mnie pewien człowiek. Również słyszał o mnie. Miał na imię Jan i przyszedł z problemem duchowym. Był członkiem różokrzyżowców. „Alfonsie” – powiedział – „mam wysoki stopień wtajemniczenia, ale nie jest to błogosławieństwem. To mnie zabija. To odepchnęło moją żonę i dzieci. To niesie tylko ból i chcę się od tego uwolnić”. „Znam innych różokrzyżowców, którzy nie mają takich problemów” – odrzekłem. „Wszystko zależy od wtajemniczenia” – powiedział. – „Czy możesz mi pomóc?” „Spróbuję” – powiedziałem. Dwa lub trzy miesiące później był już „przeprogramowany”, pozbył się swoich fałszywych wierzeń i obecnie prowadzi normalne życie. Ani razu nie pytałem go o zawód. Znałem tylko jego imię, Jan, po angielsku John. Pewnego dnia zapytał mnie: „Czy mogę ci się jakoś odwdzięczyć?” Będąc pragmatykiem, inżynierem, zapytałem: „Kim jesteś? Co umiesz robić?” „A czego chcesz ode mnie?” – zapytał. „No cóż. Mam homeopatyczny talent i to duchowe kapłaństwo, problem jednak w tym, że sam nie czuję się dobrze”. W tym momencie coś mi się rozjaśniło, przyszło mi do głowy, że gdybym mógł sam kontrolować siebie, wszystko potoczyłoby się lepiej. Chodzi o to, że jeśli ktoś mówi, że nie jest sobą, to znaczy, że nie ma nad sobą kontroli. Powiedziałem więc mu: „Zawsze wszystko kontrolowałem – fabryki, automaty, wszystko. Kontrolowanie jest moją specjalnością. Jeśli będę potrafił kontrolować siebie samego, to sądzę, że uczynię duży postęp i znowu odnajdę siebie”. „To skomplikowana sprawa” – odrzekł. Długo rozmawialiśmy. Okazało się, że on również jest w pełni wykwalifikowanym homeopatą. I nie tylko – był również alchemikiem. „Tego, o czym mówisz, nie da się osiągnąć przy pomocy homeopatii” – oświadczył. Miał doktorat z chemii i był wręcz genialny. Był dyrektorem elektrowni jądrowych. Był bardzo przenikliwym człowiekiem. „Na ile znam się na chemii, nie jest ona wystarczająca. Wydaje mi się, że pomoc ci może dopiero alchemia. Właśnie tego ci trzeba” – zawyrokował.

– Alchemia. Również na niej się znał?

– „Znasz się na tym?” – zapytałem. Sądziłem, że moje życie zmieniło się w rezultacie otarcia się o wiedzę o opętaniu, a tu oto pojawia się ktoś ze średniowieczną wiedzą o alchemii. Słuchałem go uważnie, gdy mówił: „Tak, jestem doktorem chemii i również alchemikiem. Zajmowałem się alchemią przez wiele lat i widziałem wiele ciekawych rzeczy, które się działy”.

– Jako dyrektor elektrowni jądrowej nie mógł być głupkiem.

– Oczywiście. Później dowiedziałem się, że alchemicy z całego świata spotykają się od czasu do czasu. Było ich dziesięciu lub dwunastu, wszyscy z doktoratami. Mieli doktoraty z fizyki lub innych dziedzin. Niektórzy mieli po dwa a nawet trzy doktoraty. To nie byli przeciętni ludzie.

– A praktykowanie alchemii jest ich zajęciem ubocznym.

– Tak, ubocznym. Jan przestał zajmować się alchemią ze względu na jej ezoteryczną stronę. Powiedział: „Pogadajmy o niej” – ale to nie była taka sobie pogawędka. Został na prawie pięć lat. To była długa rozmowa. Czasami kończyliśmy dyskusje o trzeciej a nawet czwartej nad ranem.

– Mieszkał w pańskim domu?

– Mieliśmy w ogrodzie niewielką chatkę i on w niej zamieszkał. Miał tam również swoje laboratorium. Mieszkaliśmy osobno na tej samej posesji. Powiedział mi wiele na temat filozofii kryjącej się za alchemią, szczególnie o tym, co stanowi podstawę moich obecnych preparatów VEN28. „We wszystkich materialnych rzeczach mamy do czynienia z duchem, duszą i ciałem. Pozwól, że dam ci przykład: szklanka wina. Widzimy tylko ciecz, wino. To ciało, które powstało wyłącznie w wyniku fermentacji soku winogronowego. Tym niemniej w winie zawarte są dwa subtelne ciała, których w ogóle nie dostrzegamy: duch i dusza. Każdy, kto potrafi destylować, może wyekstrahować ducha. Kiedy oddestylowujemy alkohol z wina, oddzielamy ducha

od ciała” – wyjaśnił.

– Dlatego alkohol nazywamy „spirytysem”.

– W języku niemieckim nazywa się on „Weingeist”, czyli „duch wina”. Z kolei „alchemia” nosi w języku holenderskim nazwę, jak mi powiedział Jan, „alscheikunde”, co znaczy „sztuka rozdzielania wszystkiego”. Pierwszą rzeczą, jaką wykonuje się w alchemii, jest rozdzielanie wszystkiego na ducha, duszę i ciało. Ciało widać od razu, ale nie widać rzeczy niewidzialnych, które warunkują jakość. W winie nie widać alkoholu, dla którego jest on duchem. Podobnie nie widać duszy, która ma również wpływ na jakość wina.

– Skoro alkohol jest duchem, to co jest duszą?

– Dał przykład. Wykazał, że można nad nią pracować dopiero po wydzieleniu alkoholu z cieczy. Dusza wciąż znajduje się w ciele. Jak ją wydobyć? To bardzo skomplikowana, wyrafinowana procedura. Podgrzewa się wino bardzo powoli i zaczyna się działać na nie czterema żywiołami: ziemią, ogniem, powietrzem i wodą. Ten alchemiczny proces wymaga długiego czasu i w rezultacie uzyskuje się kryształy tak czyste i białe, że wręcz oślepiają. To naprawdę coś szczególnego. I właśnie to jest dusza wina. Tak więc mamy niewidzialnego ducha i duszę i właśnie te niewidzialne składniki kontrolują widzialne. Zabrzmiało bardzo znajomo. Wydało mi się oczywiste. Niewidzialne kontroluje widzialne. To właśnie zachodziło, kiedy jako inżynier automatyzowałem procesy. Początkowo te procesy wykorzystywały technikę pneumatyczną, sprężone powietrze. Nie widać powietrza, mimo iż popycha, porusza i otwiera zawory – niewidzialne kontroluje widzialne. Później dostaliśmy obecnie szeroko stosowane systemy elektroniczne. Znowu nie widzimy elektronów, widzimy natomiast wyniki ich działania...

– Zauważamy, że to tam jest, ale tego nie widzimy.

– Wkładamy kontakt do gniazdka, ale nie widzimy siły.

Spróbujmy przekonać dziecko, że coś tam jest. Można próbować w nieskończoność, ale ono i tak nic nie zobaczy. Musi włożyć coś do gniazdka, aby odczuć lekki szok. Niedostrzeganie niewidzialnego nie oznacza, że tam nie ma kontroli. Powiedziałem wtedy sobie: „Teraz mam na czym się oprzeć. To przecież mój zawód. Kontrolowanie wszystkiego pneumatycznie, elektronicznie, telemetrycznie było kiedyś moim zawodem”. Poczułem przypływ energii. Gdyby udało mi się zmusić to niewidzialne we mnie do kontrolowania widzialnego, określanego jako fizyczne, wtedy byłbym zdolny do robienia fajnych rzeczy. Mógłbym znowu się odnaleźć, ponownie odzyskać kontrolę, przejąć kontrolę nad resztą mojego życia, zacząć je od nowa. Jako inżynier znałem formuły, cybernetyczne korelacje, techniki korelacji. W roku 1973 w naszym rodzinnym interesie budowaliśmy komputery procesowe. Używaliśmy własnych komputerów, więc dosyć dobrze znałem się na rzeczy. Pomyślałem, że jeśli uda mi się wdrożyć kontrolę siebie samego, to będzie to zupełnie inna historia.

– Rzeczywiście byłaby to inna historia.

– Wiedziałem, że będę w stanie dojść do siebie i zacząć funkcjonować bardziej optymalnie. Rozmawiałem wiele o alchemii z Janem. Przygotowywał różne rzeczy, a ja wypróbowałem je na sobie, ale tak naprawdę wcale mi się nie polepszyło. Nie mówię, że alchemia jest nieefektywna. U niektórych działa, a u innych nie. Brakuje powtarzalnych wyników.

– Nie można na niej polegać.

– Nie, nie można mieć do niej zaufania. A kiedy ktoś próbuje mówić na ten temat, spotyka się z oporem. Ludzie uważają, że „alchemicy to czarnoksiężnicy”. W każdym bądź razie doprowadziło mnie to do ważnej konstatacji, że niewidzialne kontroluje widzialne, co wynikało zresztą z mojego zawodu. Pytanie brzmiało: „Jak mogę przenieść i umieścić tę niewidzialną informację we mnie, tak by mogła mnie kontrolować?” Skracając, powiem, że po wielu próbach i błędach

znalazłem odpowiedź. Próbując różnych rzeczy, odkryłem, jak to działa. Kiedy mówię „odkryłem”, nie oznacza to, że znalazłem coś nowego, że dokonałem odkrycia lub wynalazku. To istnieje, a jedynym problemem jest wychwycenie tego. Aby coś podnieść, należy być gotowym do podniesienia. Należy być przygotowanym do myślenia o tym, przyswojenia tego, wzniesienia się na poziom „chcę to znaleźć, muszę to znaleźć”.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Z Alfonsem Venem rozmawiał Willem de Ridder

Tłumaczenie: Jerzy Florczykowski

Źródło: [„Nexus” nr 3 \(59\) 2008](#)

NOTY BIOGRAFICZNE

Alfons Ven żył w Belgii w latach 1939-2012. Był prezesem niedochodowej Fundacji Wizja Ewolucji z siedzibą w Holandii, którą założył w roku 1996. Utrzymywał, że wszystko, co emanuje z niewidzialnego, jest kontrolowane zgodnie z „12 aspektami”: dźwiękiem, przestrzenią, ogniem, światłem, pierwiastkami, materią, organizmami, roślinami, zwierzętami, ludźmi, porozumiewaniem się i porządkiem. Opracował koncepcję „cybernetycznego” zdrowia i stylu życia obejmującą 28-dniowy program „Kuracji Vena” („Ven-Cure”). Jest autorem wydanej w roku 1999 książki „The Power of Being: The Story of My (R)evolutionary Vision and the 28-day Cure” („Siła istnienia – historia mojej (R)ewolucyjnej wizji i 28-dniowej kuracji”). Wciąż działa jego strona internetowa zamieszczona pod adresem AlfonsVen.com.

Willem de Ridder jest znanym holenderskim multimedialnym artystą, autorem opowiadań i nadawcą radiowym. Niniejszy wywiad z Alfonsem Venem przeprowadził w roku 1996. Posiada własną stronę internetową zamieszczoną pod adresem WillemdeRidder.com.